FAKE NEWSY W PRL-U

NA PRZYKŁADZIE WYDARZEŃ RADOMIA '76"

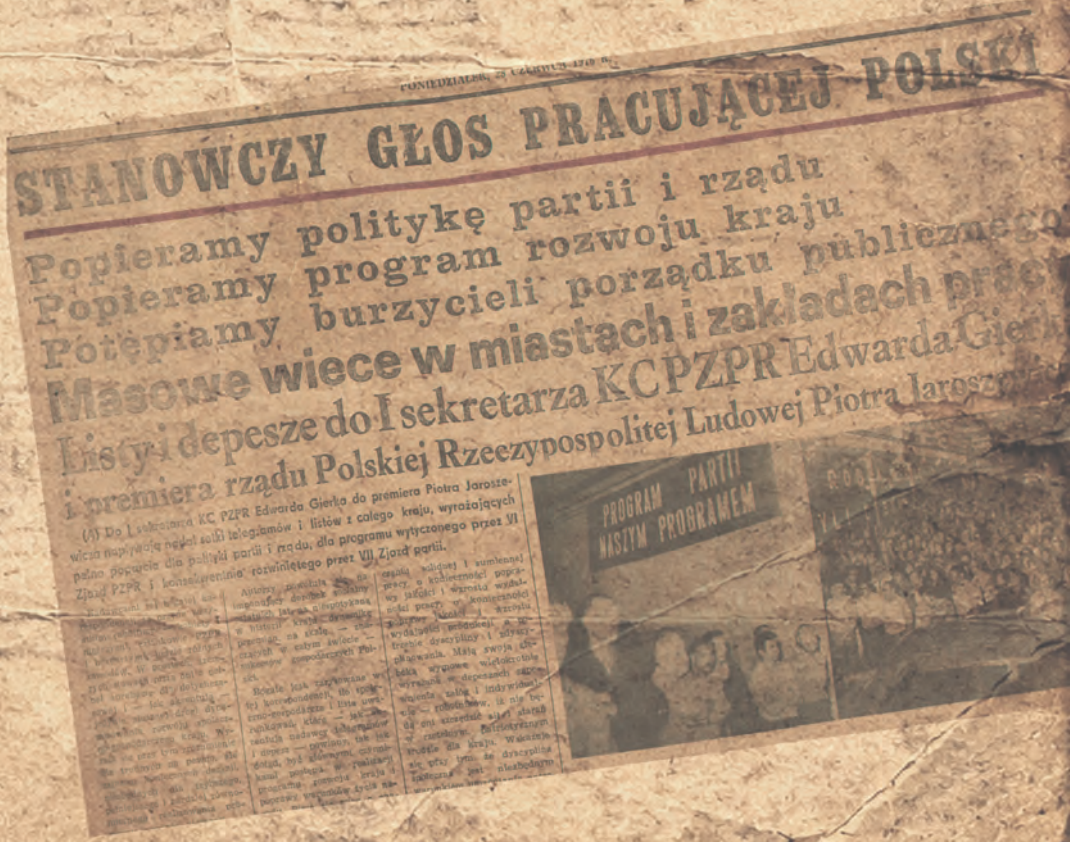

PUBLIKACJA POWSTAŁA W RAMACH PROJEKTU „FAKE NEWSY W PRL-U NA PRZYKŁADZIE WYDARZEŃ RADOMIA '76", DOFINANSOWANEGO PRZEZ MUZEUM HISTORII POLSKI W WARSZAWIE W RAMACH PROGRAMU „PATRIOTYZM JUTRA. WIELKIE ROCZNICE" - EDYCJA 2026.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUM HISTORII POLSKI

PATRIOTYZM JUTRA WIELKIE ROCZNICE

Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach programu „Patriotyzm Jutra. Wielkie Rocznice"

Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa A. i Andrzeja S. Załuskich w Radomiu

visitRadom.pl RADOM ZASKAKUJE

Biblioteka jest instytucją finansowaną z budżetu Gminy Miasta Radomia

Materiał dostępny na licencji: CC BY 4.0

WSTĘP

Projekt „Fake newsy w PRL – u na przykładzie wydarzeń Radomia 76” porusza bardzo istotny problem roli prasy jako narzędzia propagandy. Komunistyczna władza w Polsce, wiernie wzorując się na wzorcach sowieckich, podporządkowała sobie wydawnictwa prasowe już w latach 1945 – 1946. Przemysł poligraficzny i drukarnie przejęto na mocy „ustawy z dn. 3 stycznia 1946 r. o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej”. Właśnie ten krok dawał władzy kontrolę nad dystrybucją papieru – surowca koniecznego dla funkcjonowania wydawnictw. Rozkaz ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza z 19 stycznia 1945 r. był podstawą do powołania Centralnego Biura Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, którego zadaniem była cenzura prewencyjna. Żaden plakat, gazeta, spektakl nie miał prawa dotrzeć do odbiorcy zanim nie uzyskał akceptacji tej instytucji. Oddziały Centralnego Biura Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk działały w każdym województwie.

Na skutek tych posunięć, dezinformacja w prasie PRL była zjawiskiem powszechnym i celowym. Mając oparcie we wspomnianej instytucji, stanowiła narzędzie kontroli społecznej i propagandy, zarządzanym bezpośrednio przez aparat partyjny PZPR oraz cenzurę, realizowaną przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (zmiana nazwy nastąpiła w lipcu 1946 r.). Jej celem było nie tylko ukrywanie prawdy o problemach politycznych, społecznych i gospodarczych, ale kreowanie alternatywnej rzeczywistości zgodnej polityką informacyjną PZPR. Temu celowi służył język pełen schematów, silnie oddziałujący na emocje odbiorcy.

Przykładem dezinformacji w prasie lat 70. była nagonka na Radom i Ursus, prowadzona po protestach robotników, do których doszło 25 czerwca 1976 roku. Poprzedniego dnia ówczesnym premier Piotr Jaroszewicz zapowiedział drastyczne podwyżki cen podstawowych produktów żywnościowych i dlatego robotnicy, żyjący niejednokrotnie na granicy ubóstwa, manifestowali swój sprzeciw na ulicach. W następstwie tych wydarzeń, prasa nazywała robotników z Radomia „warchołami”, „mętami społecznymi”, a sam protest sprowadzano do chuligańskich wybryków, kradzieży i niszczenia mienia społecznego. W opozycji do tej wersji pozostają wspomnienia uczestników tych wydarzeń. Z zadaniem przestawienia czytelnikowi ich relacji zmierzyły się uczennice radomskich liceów ogólnokształcących, które przeprowadziły wywiady. Z tej konfrontacji wyłania się obraz mechanizmu dezinformacji, jaki stosowano w okresie PRL.

Oddając w ręce czytelników to opracowanie, staramy się dać możliwość młodzieży wglądu w realia tamtej rzeczywistości oraz lepszego zrozumienia najnowszej historii zarówno swego miasta jak i procesu transformacji ustrojowej, jaki dokonał się w Polsce.

dr Anna Drela, koordynatorka warsztatów

WYWIADY
ze świadkami historii

Mirosława Hetman.....4
Jan Rejczak.....9
Marek Siedlecki.....15
Tomasz Świtka.....20

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Józefa A. i Andrzeja S. Załuskich
w Radomiu

Świadek historii: Mirosława Hetman, uczestniczka protestu społecznego Czerwca'76

Przeprowadzająca wywiad: Hanna Skorża, uczennica klasy IA, I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Radomiu.

Hanna Skorża (dalej: HS) Jak Pani zapamiętała codzienne życie w Radomiu w latach 70.?
Mirosława Hetman (dalej: MH) Codzienne życie w Radomiu było biedne. Radom był szary, ponury. Ludzie naprawdę biednie żyli. Byli tacy, co mieszkań nie mieli i mieszkali na strychach i w piwnicach, gdzie nie było wody, kanalizacji ani światła. Pamiętam, że w czasach, kiedy jeszcze byłam uczennicą, w wakacje żeśmy jeździły na zbieranie truskawek. W regionie radomskim był zakład taki, gdzie robili dżemy. Tam się zatrudniałyśmy w wakacje i pracowałyśmy. Nad morze się wyjeżdżało do domów wczasowych, gdzie się pracowało. Człowiek za te pieniądze sobie już mógł coś kupić. W tym czasie tata już nie żył, więc i ja, i rodzeństwo pomagaliśmy mamie jakoś wiązać koniec z końcem. Dzięki temu, że zarabiałyśmy, mama swoje zarobione pieniądze wydawała nie na nas, ale na inny cel. Jakoś to się ciągnęło. Mimo że było biednie, życie nasze dziecinne, a potem młodzieży, było naprawdę wesołe. Cały czas, od rana do wieczora, byłyśmy na podwórku. Latem, jak było ciepło, jeździłyśmy nad wodę. Rodzice się nie bali, że coś się z nami stanie. My z kluczem na szyi chodziłyśmy, a zostać w domu to już była kara. Tak że te lata młodzieńcze, dziecinne naprawdę były wesołe. Była taka solidarność, jedno drugiemu pomagało. Sąsiad sąsiadowi pomagał. Było więcej życzliwości.

HS: Co można było kupić wtedy w państwowym sklepie spożywczym i ile to kosztowało?
MH: Tak na co dzień półki były raczej puste. Było ciężko coś kupić, bo jeśli coś było, to było drogie. Na przykład szynki na co dzień żeśmy nie jedli. Szynka była tylko na święta. Kilogram szynki kosztował 90 złotych w tamtych czasach przy niskich zarobkach.

HS: Ile kosztowały inne produkty?
MH: Z tego, co pamiętam, 10 deko [dekagramów] kawy kosztowało 60 zł, chleb był po 4 zł, kajzereczki – takie bułeczki – były po 40 groszy, za kilogram cukru żeśmy płacili 10,50 zł, zwyczajna [najtańsza kiełbasa] była po 44 zł za kilogram. Także ceny były naprawdę wysokie w stosunku do zarobków. Było ciężko, bo i rodziny były większe niż teraz. Dzisiaj młodzi ludzie wychowują jedno albo dwoje dzieci. Kiedyś było po siedmioro albo ośmioro dzieci w rodzinie. Rodzice pracowali i nie dawali rady, żeby finansowo wszystko jakoś zapewnić tym dzieciom. Tak że naprawdę była bieda. Dzieci jedno po drugim nosiły ubrania. Dobrze, że w szkołach przez lata obowiązywały te same podręczniki i nie trzeba było kupować co roku nowych. Młodsze rodzeństwo po starszych braciach i siostrach używało książek do nauki. Człowiek od najmłodszych lat uczył się oszczędzania. Dzieci zbierały butelki, żeby sobie cukierki kupić albo pójść na lody. Kieszonkowego nie było, bo rodziców nie było na to stać. Od miesiąca do miesiąca trzeba było jakoś żyć.

HS: Opowiada Pani o życiu, które nam – współczesnym nastolatkom – trudno sobie wyobrazić. W jaki sposób zdobywało się ubrania, które nosiło starsze rodzeństwo?
MH: Jeśli chodzi o ubrania, to w sklepie kupowało się materiał, a potem chodziło do krawca lub krawcowej [westchnienie]. Zawsze coś tam rodzice wykombinowali. Nieraz po całych nocach stało się w kolejce po materiał na ubranie, buty czy coś do jedzenia [westchnienie].

A życie to, jak to życie. Tej wędliny na co dzień nie było, ale zawsze chleb czymś się posmarowało. Bywało tak, że jadło się chleb maczany w wodzie, a potem smarowało śmietaną z cukrem albo tylko posypywało cukrem. To był przysmak dla dzieci. Kobiety – mamy, babcie – robiły marmolady i dżemy do smarowania chleba. Skoro mięsa zwykle w domu nie było, to zupę gotowało się na wodzie i skwarkami się okrasiło. Takie to życie było.

HS: Czy po szkole podstawowej marzyła Pani o tym, żeby zdać maturę i iść na studia, czy wolała Pani jak najszybciej zacząć pracę zawodową?
MH: Tak, marzyłam o studiach, ale musiałam iść do pracy, bo wiedziałam, że mama – bo już tata mój nie żył – sama nie da rady nas wyżywić ani ubrać. Dlatego poszłam do szkoły wieczorowej, żeby dalej kontynuować naukę, ale już normalnie pracować i zarabiać. Człowiek jakoś sobie radził z tym. Te swoje marzenia pomału, pomału się realizowało.

HS: W jakim zakładzie pracy pani pracowała w czerwcu 1976 roku? I na jakim stanowisku?
MH: Pracowałam w Zakładach Metalowych [Zakłady Metalowe im. gen. Waltera w Radomiu]. Zakład ten znajdował się na Gołębiowie [chodzi o osiedle Gołębiów w Radomiu] i produkował maszyny do pisania. Zajmowałam się składaniem tych maszyn.

HS: Kiedy i w jaki sposób dowiedziała się pani o planowanych przez rząd premiera Piotra Jaroszewicza drastycznych podwyżkach cen żywności?
MH: Ta wiadomość była podana wieczorem w telewizji. Następnego dnia w fabryce już zaczął się bunt. Ludzie buntowali się przeciw zapowiadanym cenom, bo podwyżki były kolosalne. Na jedne artykuły nawet 100%, na inne nawet ponad 100%. Ludziom ciężko było wiązać koniec z końcem nawet przy tych cenach, o których wcześniej mówiłam. Gdyby te podwyżki weszły w życie, to już byłaby naprawdę tragedia. Dlatego ludzie się zaczęli buntować, wychodząc właśnie na ulice. Chcieli, żeby władza zniosła te podwyżki. Wtedy [25 czerwca 1976 roku] z zakładów do zakładów szli ulicami i kolejni robotnicy dołączali do protestu. Ludzie, którzy byli na ulicach, też się przyłączali. Wszyscy poszli pod siedzibę partii na ulicę 1 Maja [chodzi o ówczesną siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR, obecnie budynek Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych przy ulicy 25 Czerwca 68] [… chwila ciszy…]. No i my z koleżankami też dołączyłyśmy do tego protestu.

HS: Czy protestującym chodziło tylko o odwołanie podwyżek cen? Czy ludzie ufali władzy?
MH: Zniesienie podwyżek cen było tylko częścią postulatów. Ludzie już mieli dość tej komuny, tych rządów, tej biedy. Nie mieliśmy prawa głosu, byliśmy zastraszeni, nie mogliśmy się odzywać. Jeśli ktoś coś mówił, to wszystko w tajemnicy, żeby nikt nie usłyszał.

HS: Dlaczego?
MH: Bo po prostu były aresztowania, jeśli ktoś się sprzeciwiał władzy. My po prostu byliśmy pachołkami do roboty. Władzy chodziło o to, żeby pracować, pracować i nic się nie odzywać.

HS: Ile trwał tydzień pracy? Ile dni w tygodniu szło się do pracy?
MH: Sześć dni. W sobotę pracowaliśmy do 13:00.

HS: W każdą sobotę?
MH: Tak, w soboty nie było dnia wolnego. Do pracy nie szło się tylko w niedziele.

HS: Powróćmy do dnia 25 czerwca 1976 roku. Jak zapamiętała Pani moment przerwania pracy w swoim zakładzie?
MH: No tak już, prawdę mówiąc, dokładnie nie pamiętam. Wiem, żeśmy wyszły piechotą. Pieszo szłyśmy, bo już autobusy nie kursowały. Telefony też nie działały, żadnej komunikacji nie było. Piechotą żeśmy doszły do ulicy 1 Maja [obecnie 25 Czerwca]. Tam żeśmy się przyłączyły do strajku.

HS: Jakie emocje towarzyszyły robotnikom wychodzącym z fabryk?
MH: Co czuliśmy? [chwila zastanowienia] Czuliśmy radość [chwila ciszy]. To był dzień upalny, gorący – wiadomo 25 czerwca, to już lato. Wyszliśmy na ulicę i mogliśmy w ten czas powiedzieć wszystko, co było na sercu. Mogliśmy w ten czas wykrzyczeć to, co wcześniej musieliśmy przemilczeć. Człowiek poczuł się wolny i szczęśliwy, że może powiedzieć to, co myśli. To naprawdę był bardzo szczęśliwy dzień.

HS: Czy od początku planowano marsz pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR?
MH: Tak, od początku. Dlatego, że tam mogliśmy dostać jakąś odpowiedź. I dlatego marsz był w kierunku ulicy 1 Maja pod Komitet.

HS: Co działo się pod samym Komitetem?
MH: Pod Komitetem domagaliśmy się zniesienia podwyżek. Mieliśmy dostać od władz wojewódzkich odpowiedź, czy zniosą te podwyżki. Tej odpowiedzi żeśmy nie dostali. Ludzie się bardzo zdenerwowali. W końcu delegacja protestujących weszła do Komitetu. Wtedy zobaczyli, że budynek jest pusty, że oni uciekli. Zobaczyli jeszcze, jakie oni mieli te luksusy w tym Komitecie. To były luksusy, jakich myśmy na oczy nie widzieli.

HS: Co to były za luksusy? Co Pani zapamiętała?
MH: Zobaczyliśmy, co wyrzucono przez okna, czyli telewizory, sprzęty AGD czy żywność. Robotnicy, którzy weszli do Komitetu, po prostu chcieli pokazać ludziom, w jakich oni luksusach żyją, a jak my żyjemy. Chcieli pokazać, że oni mieli wszystko, o czym my nawet nie mogliśmy pomarzyć. To jeszcze bardziej ludzi wzburzyło, zdenerwowało [chwila ciszy]. Właśnie dlatego pewnie podpalili ten Komitet. Ludzie byli wzburzeni i chcieli im te luksusy zniszczyć. Później jeszcze kolega mówił, że to była też prowokacja. Może by nie doszło do wyrzucania rzeczy przez okno i podpalenia Komitetu, ale ktoś prowokację po prostu zrobił. Podburzył jeszcze bardziej protestujących ludzi. Zaczęli samochody przewracać i podpalać. Wtedy weszła milicja i ZOMO. Zaczęli rzucać granatami łzawiącymi i gazem. Jak milicja wprowadziła armatki wodne, ludzie się zaczęli rozpraszać na inne ulice. Ludzie zaczęli po prostu uciekać. Ja z koleżankami żeśmy pobiegły w boczną uliczkę. Nie pamiętam, jaką wtedy nosiła nazwę. Bocznymi uliczkami żeśmy dotarły do ulicy Żeromskiego, bo tam mieszkałam. Uciekłam właśnie do domu.

HS: Czy widziała Pani rozbijane szyby w witrynach sklepów i ludzi wynoszących, zabierających towary?
MH: Wybijanie szyb, to właśnie były te prowokacje. Ludzie Czerwca na pewno w nich nie brali udziału. Ci, którzy przyszli protestować przeciwko podwyżkom, nie brali udziału. Wiadomo, był protest i powychodzili z bram, tacy co różne sprawki mieli na sumieniu, ale i ci co lubili wykorzystać każdą okazję. Najpierw stali na ulicy i przyglądali się. Potem, jak zaczęło się

rozbijanie szyb, to byli tacy, co zabierali towar ze sklepów. Mam taką znajomą, którą milicja zatrzymała, jak wysiadała z autobusu z belą materiału [chwila ciszy, westchnienie]. Niestety. No i co zrobić? No i co zrobić? Tak, byli tacy, co korzystali. Ale jeszcze raz podkreślam – Ludzie Czerwca nie zabierali niczego z rozbitych sklepów.

HS: W jakich okolicznościach została pani zatrzymana?
MH: Kiedy na ulicy Żeromskiego w sklepach zaczęli wybijać szyby, wyszłam na zewnątrz zobaczyć, co się dzieje. Wtedy doszli moi znajomi z pracy i powiedzieli, że zatrzymują naszych kolegów, którzy brali udział w strajku. Mówili, że są bici. Wtedy poszliśmy grupą pod komisariat, który wtedy mieścił się przy ulicy Kilińskiego, tam, gdzie obecnie mamy Urząd Miejski. Zaczęliśmy demonstrację robić. Dlaczego zatrzymują i biją protestujących? Przecież to było pokojowe wyjście, żeby znieśli podwyżki. Oni sprowokowali ludzi do tego, co właśnie się stało. Na ulicach zaczęli zatrzymywać, łapanki były, bicia, katowanie. I myśmy się temu sprzeciwiali. Zomowcy nas spałowali przed komisariatem [chwila ciszy]. Zostałam zatrzymana i pobita przez zomowców pałami.

HS: Jakie były warunki w areszcie? A w jakich warunkach byliście przetrzymywani?
MH: Ja zostałam sprowadzona na tak zwany dołek. To był areszt na komisariacie. Warunki były tragiczne [chwila ciszy]. Nie było się jak umyć. Jeśli chodzi o sprawy załatwiania się, było kubełko [wiadro]. Nawet zasłony przy nim nie było. Panował straszny smród, bo to był upał. Zapamiętałam straszne gorąco, zaduch, wszy, brudne koce. Naprawdę była tragedia. Było nas dużo dziewczyn. Ten smród był straszliwy, bo każda się pociła, a nie mogłyśmy się umyć. To była naprawdę tragedia.

HS: Ile osób było w jednej celi?
MH: Trudno mi powiedzieć, ale na pewno było tam około dwudziestu osób. Być może nawet więcej.

HS: Co było później?
MH: Potem zostałam skazana na trzy miesiące więzienia. Najpierw wywieziono mnie do aresztu Warszawa Grochów. Po dwóch miesiącach zostałam znów przewieziona do Radomia, gdzie miałam sprawę. Dostałam cztery miesiące odsiadki. Ogólnie wyrok miałam siedmiu miesięcy, z czego odsiedziałam trzy miesiące.

HS: O co Panią oskarżono i za co skazano?
MH: Za ubliżenie władzy w miejscu publicznym. Drugą sprawę założyła mi milicjantka, która mnie sprowokowała na komendzie, gdzie zostałam zatrzymana. Ja też jej odpowiedziałam parę słów, bo po prostu mnie zeszmaciła całkowicie. Nie wytrzymałam nerwowo, też jej powiedziałam, co myślę o tym wszystkim i założyła mi sprawę. Za to właśnie dostałam cztery miesiące więzienia.

HS: Jakie represje spotkały Panią lub znajomych z pracy?
MH: Wyszłam po trzech miesiącach, we wrześniu. Zostałam karnie zwolniona z Zakładów Metalowych. Otrzymałam tak zwany wilczy bilet. To znaczyło, że nigdzie nie można było pracy dostać. Nachodziła mnie milicja. Rewizję robiła. Chodzili za mną. Mieszkałam w kamienicy przy Żeromskiego od dziecka i dobrze znałam boczne wyjścia. Oni [milicjanci] o tym nie wiedzieli.

Wtedy powstał Komitet Obrony Robotników, czyli KOR. Oni nam pomagali. Przychodzili do ludzi, którzy zostali zatrzymani albo do ich rodzin. Pomagali finansowo. Do mnie raz przyszli, też mi pomogli. KOR-owi wiele zawdzięczam. Władza myślała, że nas zastraszy. Ale oni nas nie zastraszyli. Jeszcze bardziej w człowieku narastał bunt. Nie wiem, jak to nazwać. KOR jeszcze psychicznie nas podbudował. Czuliśmy, że są ludzie, którzy nie boją się i nam pomagają. I są z nami. Ze mną skontaktowali się studenci, którzy później przywozili ulotki. Miałam takich zaufanych kolegów i koleżanki, którzy te ulotki później roznosili. Tak że można powiedzieć, że działałam w konspiracji.

HS: Czego dotyczyły te ulotki? O czym one mówiły i do kogo były kierowane?
MH: Ulotki były kierowane do ludzi. Do zwykłych ludzi, robotników. I w ulotkach pisała prawda. Bo my nigdy żeśmy prawdy nie słyszeli. Jedynie wolna Europa [radio], co jeszcze przekazywała prawdę. W tych ulotkach właśnie była pisana prawda, czyli taka mobilizacja psychiczna dla ludzi, że jednak trzeba dalej coś robić, żeby tę komunę zlikwidować. Wszystko po to, żebyśmy w końcu mieli wolność. Później powstała Solidarność i nadszedł 1989 rok. W końcu wywalczyliśmy tę wolność. Była wielka radość, płacz, wielka radość, że jednak tę cegiełkę żeśmy do tej wolności dołączyli.

HS: Gdzie Pani pracowała, po karnym zwolnieniu z Zakładów Metalowych? Została Pani wyrzucona z pracy z tak zwanym z „wilczym biletem", no ale z czegoś trzeba było żyć…
MH: Leczyłam się u pewnej doktor. Ona znała moją sytuację i po dziewięciu miesiącach otrzymałam pracę w Spółdzielni Inwalidów w „Nowym Życiu". Oni już nie zwracali uwagi, na to czy siedziałam, czy nie siedziałam. Zostałam przyjęta, no i tam pracowałam.

HS: Jak na Pani powrót z więzienia zareagowała rodzina i sąsiedzi?
MH: Wychodząc z więzienia nawet nie spodziewałam się, że będę miała takie wsparcie psychiczne od sąsiadów i od rodziny. Najpierw było gorące przywitanie, ale później na ten temat się nic już nie mówiło. To było tabu.

HS: Czy założyła Pani swoją rodzinę?
MH: Tak, tak. Wyszłam za mąż. Miałam dwoje dzieci w latach osiemdziesiątych. Mąż był współzałożycielem „Solidarności" w zakładzie, gdzie pracował, a więc dalej razem żeśmy w konspiracji działali.

HS: Czego tamte wydarzenia powinny nauczyć dzisiejsze młode pokolenia Polaków?
MH: Dzisiaj mamy wolność i demokrację, ale nic nie jest dane raz na zawsze. Wolność jest dzisiaj, ale jutro może jej nie być. Chętnie chodzę do szkół i opowiadam dzieciom i młodzieży o proteście Czerwca'76. Mówię młodym, że każde pokolenie w taki czy inny sposób musi dbać o wolność. Czas płynie. Jak nas – ludzi Czerwca' 76 – już nie będzie na świecie, to chociaż nasze wypowiedzi zostaną, żeby później to nie zakłamywać i nie przekręcać tej historii. Bo oni [władze PRL] próbowali to robić. Próbowali z nas zrobić warchołów, złodziei i bandytów. […] Dzisiaj wolność jest, a jutro może jej nie być. Taka jest prawda.

ŚWIADEK HISTORII: Jan Rejczak

W latach 70. najpierw pracował jako technolog i konstruktor w Zakładach Metalowych im. Walera [obecnie Fabryka Broni Łucznik, a od 73 roku był pracownikiem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu, obecnie Uniwersytet Radomski, opozycjonista w czasach PRL.

PROWADZĄCA WYWIAD: Lena Pysiak uczennica klasy II LB Niepublicznego Liceum Ogólnokształcącego im. 72 Pułku Piechoty w Radomiu, Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Kielcach.

Lena Pysiak (dalej LP): W jakim środowisku Pan dorastał, czy w domu rodzinnym rozmawiał się o polityce, Katyniu, Piłsudskim lub przedwojennej Polsce?

Jan Rejczak (JR): Ojciec mój był krawcem. Mieszkałem przy ulicy Moniuszki. To była kamienica, do której po wojnie, bo urodziłem się w 1946 roku, wprowadziło się wiele rodzin i to były bardzo ciekawe rodziny, ciekawi sąsiedzi. Mój ojciec, ponieważ wykonywał usługi krawieckie, to przychodzili do nas różni ludzie. Byli też i tacy, którzy mówili o historii, o swoich przeżyciach, też o Marszałku Piłsudskim, Rydzu Śmigłym [marsz. Polski Edward Rydz Śmigły, generalny inspektor Sił Zbrojnych, Naczelny Wódz w wojnie obronnej Polski w 1939], o Roli- Żymierskim [Michał Rola-Żymierski, właść. Michał Łyżwa – polski wojskowy i działacz komunistyczny, oficer Armii Austro-Węgier, gen bryg. Wojska Polskiego, w 1927 r. wydalony z wojska, w czasie okupacji działał w komunistycznych oddziałach partyzanckich, w okresie PRL pełnił wiele prestiżowych funkcji i urzędów, m.in. był członkiem Komisji Wojskowej Biura Politycznego KC PZPR, nadzorującej Ludowe Wojsko Polskie]. Ojciec mój miał poglądy prawicowe, nawet zbliżone do Narodowej Demokracji, ale dziadek ze strony mamy był socjalistą i brał udział w rewolucji 1905 roku. Mój wujek był w Armii Krajowej i został rozstrzelany przez Niemców.
Ojciec też był nękany przez Urząd Bezpieczeństwa w pierwszych latach powojennych, ponieważ mój ojciec chrzestny i wujek był delegatem Stanisława Mikołajczyka, wicepremiera i lidera PSL na województwo kieleckie. Te tematy były obecne w mojej rodzinie podobnie jak i prawda o Katyniu. Na pierwszym piętrze w naszej kamienicy mieszkała pani Zofia Majewska-Komorowska. To była bardzo ciekawa osoba, która wywarła wielki wpływ na moje życie i na moją działalność publiczną. Była dziadeczną ciotką przyszłego prezydenta Polski pana Bronisława Komorowskiego Od pani Zofii otrzymałem taką publikację, w której zawarta była relacja pana Swianiewicza [Stanisław Swianiewicz – polski ekonomista, prawnik, pisarz i sowietolog, świadek zbrodni katyńskiej], który ocalał z mordu. Także prawdę tę poznałem. Rodzice nie protestowali, więc miałem to szczęście ocierać się o ludzi, którzy mówili prawdę o tamtych czasach.

LP: Jak żyło się w pańskim domu? W czerwcu siedemdziesiątego szóstego roku robotnicy wyszli przede wszystkim z hasłami gospodarczymi, ekonomicznymi, społecznymi. Czy pan ich rozumiał?

JR: Na pewno. Co prawda mój ojciec w 1976 już nie żył, ale ja byłem dorosłym niezależnym finansowo człowiekiem. Byłem inżynierem, więc materialnie nie miałem jakiegoś niedostatku. Miałem starszych braci i młodszą siostrę, która jeszcze się uczyła w szkole średniej, a później studiowała. Pomagałem finansowo jej i naszej mamie, bo emerytury wtedy były niskie. Jak to się mówi, wiązaliśmy koniec z końcem.

LP: W którym momencie i pod wpływem jakich impulsów podjął Pan decyzję, że nie można już tylko rozmawiać i wspominać, ale trzeba zacząć działać, zmieniać rzeczywistość?
JR: Włączyłem się już podczas studiów. Studiowałem na Politechnice Warszawskiej od 1964 roku. No i wtedy, kiedy byłem na czwartym roku, w 1968 roku, był tak zwany marzec. Uczestniczyłem w tych wydarzeniach, wtedy też po raz pierwszy strajkowałem.

LP: Jak pan zapamiętał sam dzień 25 czerwca 1976 roku?
JR: Chociaż minęło 50 lat od tego wydarzenia, pamiętam ten dzień dlatego, że stałem się trochę przypadkowym uczestnikiem protestu. Służba Bezpieczeństwa uważała, że jestem zagrożeniem dla ładu społecznego i spowodowała, że na początku czerwca w 1976 roku zostałem wezwany do odbycia miesięcznego szkolenia wojskowego w jakiejś jednostce. Ponieważ było pomylone moje imię, mój stopień wojskowy, byłem też po ciężkiej operacji, z której ledwo wyszedłem z życiem, miałem rozlany wyrostek robaczkowy, więc chciałem się wyreklamować, czyli wymigać od szkolenia. Wtedy dowiedziałem się, że nie ma takiej opcji, ponieważ jest lista osób, których ma nie być w Radomiu. To było kilka tygodni przed protestem, ponieważ trwało moje prawowanie się z Komendą Uzupełnień. Wtedy, właśnie 25 czerwca 1976 roku musiałem pojechać do szpitala w Dęblinie na badania, bo właśnie tam podjęta miała zostać decyzja czy będę odwieziony do jednostki wojskowej, czy będę mógł wrócić do domu. Na badaniach spotkałem życzliwych lekarzy. Pamiętam, że jeden z nich zapytał się, co to się w Radomiu dzieje. Powiedziałem, że nie wiem, bo gdy wyjechałem o siódmej rano w mieście było spokojnie. A on już widać wiedział, to był jakiś major.

LP: O której godzinie rozmawiał Pan z tym lekarzem?
JR: To była gdzieś godzina trzynasta. On już wiedział, że tu są jakieś niepokoje. Wróciłem pociągiem może koło godziny szesnastej. W Radomiu już był zamęt na dworcu, włączyłem się do tego protestu.
Poszedłem najpierw do domu na ulicę Moniuszki, a później na ulicę 1 Maja, obecnie 25 Czerwca i patrzyłem, co to takiego się w Radomiu dzieje. Ten protest zaczął się w fabryce, w której pracowałem, w Zakładach Metalowych…
Trzymałem się z boku, nawet rozmawiałem z jakimś zomowcem. Nie bardzo chciał się przyznać, ale powiedział, że jest w szkole oficerskiej w Szczytnie, że jest studentem czy tam elewem i wszyscy tutaj przyjechali. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że samolotami całą szkołę przywieziono, czyli ponad tysiąc studentów. Byli też zomowcy, którzy obstawiali budynek Urzędu Wojewódzkiego. Chodzili po ulicach w patrolach. Było bardzo dużo gazu.
Jeszcze następnego dnia nie dało się w Radomiu spokojnie chodzić, bo istniało zagrożenie, że cię wylegitymują i aresztują. To były dramatyczne wydarzenia.

LP: Powróćmy do samego dnia 25 czerwca 1976 r. Którymi ulicami pan wtedy przeszedł i jakich sytuacji był Pan świadkiem?
JR: Przeszedłem z dworca na ulicę Moniuszki do domu, a później poszedłem ulicą Sienkiewicza do ulicy 1 Maja i tam widziałem spalony samochód.
Później przeszedłem przez park pod Urząd Wojewódzki i tam właśnie z tym zomowcem rozmawiałem. Próbowałem pójść w stronę Komitetu [Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu] na ulicy 1 Maja, ale mnie przegoniono. Tam już nie doszedłem. Przez kilka godzin poruszałem się tylko w rejonie parku i Urzędu Wojewódzkiego [chodzi o obecny Park Kościuszki i ulicę Żeromskiego i Plac Corazziego]. Miałem szczęście, że mnie nie

wylegitymowali. Pewnie uznali, że dobrze mi z oczu patrzyło albo może myśleli, że jestem tajnym współpracownikiem, bo taki element też się włączył do protestu w roli prowokatorów.

LP: Jakie sceny pan zapamiętał najbardziej? Co po dziś dzień, jeżeli pan zamknie oczy, to pan widzi?
JR: Widzę rozbite na ulicy Żeromskiego szyby w sklepach, wszędzie leży szkło. Widzę też ludzi, którzy wykorzystywali tę sytuację. Widzę płaczących, pobitych ludzi, którzy uciekają właśnie z rejonu ulicy 1 Maja. [chwila ciszy]
Wtedy też dowiedziałem się, że przywożą, przyprowadzają ludzi do siedziby milicji przy ulicy Kilińskiego. Szedłem przez ulicę Traugutta, ale nie zwróciłem uwagi, żeby tam jakiś był ruch, a tam też znajdowała się komenda milicji.

LP: W jaki sposób organizowało się środowisko pomagające ofiarom represji po proteście społecznym czerwca 76?
JR: Już następnego dnia były podawane oficjalne informacje o tym proteście, o jego stłumieniu, o udziale sił, bo wtedy nazywali to siłami porządkowymi.
W tych grupach, w których się obracałem, dowiedziałem się o tym, jak ten protest wyglądał, szczególnie w Zakładach Metalowych, bo tam spotkałem się z kolegami. Byłem również aktywnym uczestnikiem duszpasterstwa absolwentów. To było miejsce, w którym była okazja się spotkać, pomodlić, ale też organizowaliśmy wykłady, które w przyszłości, za kilka lat, nazywane były Latającymi Uniwersytetami.
Zapraszaliśmy ludzi z zewnątrz, była to też wymiana informacji, więc docierali do naszych duszpasterzy, do proboszcza naszego, rodzin ludzi, którzy zostali aresztowani albo pobici. To było 26 czerwca, sobota. W niedzielę było coraz więcej wiadomości o skali tego wydarzenia. Oczywiście były to wiadomości przekazywane w prywatnych, zwykłych rozmowach. Wtedy nie było internetu. Słuchaliśmy radia Wolna Europa, ale tam też nie za wiele mówiono. Kiedy tam docierały te informacje, to się poszerzała też wiedza.
Teraz wiemy, że to pod samym Komitetem Wojewódzkim PZPR było 10 tysięcy osób, a pierwsza grupa, która wyszła z Zakładów Metalowych, liczyła ponad 1100 osób. To było gdzieś koło godziny 10 rano. Jedna grupa poszła pod fabrykę, która wtedy nazywała się fabryką „Blaszanką", czy fabryką kuchenek [w latach 1964–1976 zakład nosił nazwę Radomskie Zakłady Sprzętu Grzejnego, w latach 1976–1981 fabrykę włączono w struktury Zakładów Metalowych „Łucznik" i nosiła nazwę Zakłady Metalowe Predom-Łucznik – Zakład Sprzętu Grzejnego]. Część protestujących poszła pod „Radoskór" [Radomskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Radoskór"], a później dopiero poszli w kierunku Komitetu [Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ówczesnej ul. 1 Maja]. Ludzie szli ulicą od placu Kazimierza, tam, gdzie jest kościół św. Trójcy.

LP: Podam dwie nazwy organizacji, KOR i ROBCIO. Czy o tym się wtedy mówiło, czy w ogóle te nazwy się słyszało gdzieś wśród środowisk, które pomagały?
JR: Przez pierwsze tygodnie to w ogóle nikt tu z zewnątrz nie przyjeżdżał, a przynajmniej ja o tym nie wiedziałem. Już w lipcu przyjechał m.in. pan Bronek Komorowski [chodzi o Bronisława Komorowskiego, późniejszego Prezydenta RP] i powiedział, że oni w Warszawie próbują organizować pomoc dla Radomia, bo Komitet Obrony Robotników zawiązał się we wrześniu w 1976 roku. Wtedy już działały tutaj radomskie sądy doraźne. Pracowali w dzień i w nocy. Kolegium orzekające było w Urzędzie Wojewódzkim.

Wtedy też zwolnili mojego kolegę, który był uczestnikiem protestu. Okazało się, że ludzi jest bardzo dużo. Od naszego proboszcza w parafii katedralnej i w Parafii św. Jana, bo tam mieliśmy spotkanie, czyli w radomskiej Farze dowiedziałem się, że zgłosiło się kilkadziesiąt osób informujących o tym, że albo zostali pobici, albo ich rodziny informowały, że siedzą w więzieniu, są zatrzymani, albo zostali natychmiast wyrzuceni z pracy.
To było bardzo bolesne i kiedy ci wolontariusze z Warszawy pojawili się, to wtedy naszym, takim oczywistym działaniem było to, żeby pomóc dotrzeć do jak największej liczby pokrzywdzonych. Ta działalność rozkręciła się na dobre dopiero we wrześniu-październiku. Wtedy powstał KOR.
Ja znałem założycieli KOR-u, czyli m.in. pana Antoniego Macierewicza, bo wcześniej, jeszcze w 75. roku mieliśmy okazję się spotkać dzięki panu Bronisławowi Komorowskiemu. Przyjeżdżali też do Radomia studenci z KUL-u. To było silne środowisko. Byli zainteresowani, w jaki sposób można pomóc. Wtedy poznałem pana Bogdana Borusewicza, który jeszcze studiował. On jest z Wybrzeża, ale go z Uniwersytetu chyba w Sopocie wyrzucili i dostał się na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. On przyjeżdżał do Radomia od października przez wiele miesięcy. Pomagałem mu odszukiwać różne osoby, rodziny, którym pomagaliśmy.

LP: W jaki sposób pomagaliście? Czym się zajmowaliście i w tym okresie, między czerwcem a wrześniem i później?
JR: Pomocy potrzebowały głównie osoby osadzone i sądzone. Chodziło o to, żeby podać im adresy mecenasów, którzy wtedy byli gotowi bronić tych ludzi. To najczęściej byli biedni ludzie, więc to trzeba było zrobić społecznie. Pomocą było też zwykłe spotkanie, rozmowa, pocieszenie i pokazanie im, że nie są sami, że o tej biedzie ich wiemy, bo to były dramatyczne wydarzenia.
Pomoc materialna rozpoczęła się dopiero później, były zbiórki pieniędzy na kary. Myśmy także zbierali, bo kolegia karały głównie wielotysięcznymi grzywnami. Zbiórki prowadziliśmy między sobą w duszpasterstwie absolwentów. Prosiliśmy każdego, kogo znaliśmy, wspierał, kto mógł.

LP: A pomoc medyczna?
JR: Wiem, że zaangażowały się koleżanki-lekarki ze szpitala w Krychnowicach. To był wtedy wielki szpital i jeśli ktoś cierpiał, po ścieżkach zdrowia czy pobycie w więzieniu, to nieraz kierowaliśmy do konkretnej osoby, do znajomej lekarki, żeby otrzymał pomoc.

LP: Wiemy, że w oczach władz taka działalność była nielegalna albo na pograniczu prawa. I tu mamy kolejne pytanie. Jakich zasad bezpieczeństwa musiał Pan przestrzegać na co dzień?
JR: Trzeba się było pilnować. Wielokrotnie byłem zatrzymywany i wiedziałem, co to jest dołek. To były takie pomieszczenia na ulicy Kilińskiego w Komendzie Wojewódzkiej i tam po przesłuchaniu to nieraz zamknęli na noc. Takie były cele, taki areszt. Rozmawiało się o tym w domu, w otoczeniu bliskich i dalszych znajomych.

LP: Czy to raczej był taki zamknięty krąg osób, żeby nie pozwolić rozbić tego dzieła?
JR: Duszpasterstwo było dosyć szerokie, to było kilkadziesiąt osób. Na pewno w tym środowisku mieliśmy świadomość, co się stało. Z natury byliśmy ostrożni. Młodzież to na pewno była ostrożna. Mieliśmy wcześniejsze doświadczenia. Organizowaliśmy na przykład obozy letnie w 1973 i 1974 roku… nie, jeszcze w latach 60. Nieraz kończyło się, że nas Służba

Bezpieczeństwa przepędziła. Trzeba było wracać do domu. Mieli mnie [Służba Bezpieczeństwa] na liście osób dla nich niewygodnych.

LP: Czy w związku z tą działalnością pomocową po czerwcu doświadczał Pan jakichś represji? Nawet tych rozproszonych, takich niewielkich…
JR: Byłem zatrzymany kilka razy, byłem wyrzucony z pracy. To były tego typu represje.

LP: I co Pan robił, z czego żył?
JR: No co robiłem? [gorzki śmiech] Czyściłem kożuchy, byłem hydraulikiem, pomagałem hydraulikowi. Różne rzeczy.

LP: Jak tę działalność przyjmowała Pańska rodzina, Pańska mama?
JR: No właśnie. W niej miałem wielką podporę. Ona jeszcze chyba po swoim ojcu miała taką żyłkę działalności publicznej, była bardzo otwarta na ludzi. Łatwiej mi było działać, bo wtedy nie miałem jeszcze rodziny. Właściwie już miałem swoje lata, ale nie założyłem. Może dlatego człowiek czuł, że może więcej zaryzykować.

LP: Jaki wpływ na Pana późniejsze zaangażowanie podczas strajku studentów i pracowników naukowych na Wyższej Szkole Inżynierskiej w grudniu 1981 roku miała działalność pomocowa dla poszkodowanych uczestników protestu z czerwca 1976?
JR: To trudne pytanie, bo w 1980 roku byłem wyrzucony z Wyższej Szkoły Inżynierskiej i najpierw przenieśli mnie na etat tak zwanego „pracownika naukowo-technicznego". Jednym z postulatów radomskiej „Solidarności" było przywrócenie mnie do pracy. Wróciłem i tam założyliśmy „Solidarność". Był wtedy przez cały czas okres wielkiego wrzenia związany z wyborami rektora.

LP: Tak, ale pytamy nie tyle o przebieg tego protestu co o motywację. Czy po tym, czego Pan doświadczył w 1968 roku, potem w 1976 w Radomiu, co Pan czuł, co Pan myślał wtedy w 1981 roku? Dać sobie spokój, czy iść dalej? A jeżeli iść, to dlaczego?
JR: Na pewno ułożenie sobie spokojnego życia jest dużą pokusą, ale okres po 1976 roku był niezwykle dynamiczny, to były miesiące pomocy ludziom, współpracy z Komitetem Obrony Robotników, później tam doszło do pewnego rozłamu i powstała grupa Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ROPCiO.
I mnie było bliżej właśnie poprzez to środowisko katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, które również się w to włączyło. I był bardzo aktywny Pan Andrzej Czuma. Wiele się działo. Później rok 1977 - przygotowywaliśmy się do koronacji obrazu Matki Bożej Pocieszenia w Błotnicy, nasze duszpasterstwo. To był sierpień. Karol Wojtyła, który był koronatorem tego obrazu, powiedział prawdę o proteście robotniczym. Organizowaliśmy takie delegacje zakładów pracy, które składały dary.
To był szereg przygotowań. Rok później, wybór papieża, to wszystko zaczęło się w oczach zmieniać i czuliśmy, że ten reżim, że on chyli się ku upadkowi. Chociaż na pewno był bardzo silny. W województwie radomskim aparat bezpieczeństwa liczył blisko 500 funkcjonariuszy, którzy nas inwigilowali, głównie zajmowali się walką z opozycją. Na pewno Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela już był taką zorganizowaną opozycją z ujawnionymi nazwiskami ludzi. To doświadczenie na pewno pomogło mi zorganizować „Solidarność" w regionie, ale też i w Wyższej Szkole Inżynierskiej.

LP: Co chciałby Pan powiedzieć współczesnej młodzieży, która żyje w wolnej Polsce i Prawo Człowieka uważa za coś oczywistego?
JR: Chcę powiedzieć, że wolność nie jest dana raz na zawsze.
Trzeba o nią codziennie zabiegać i tak samo, jak o Prawa Człowieka. Cieszymy się, że teraz w Polsce jest szanowana godność człowieka, że są różne instytucje, do których się można odwołać, jeżeli prawo jest łamane. Ale trzeba być stale czujnym i zauważać różne rysy, które pojawiają się i one się będą pojawiać. Trzeba mieć pewną wrażliwość i tę wrażliwość człowiek w szkole na powinien sobie wzmacniać, budować, żeby zauważać różne zagrożenia. Z pozoru coś może być nieważne, a później się okazuje, że z tego drobiazgu robią się wielkie wydarzenia. No, daj Boże, żeby młodzież mogła spokojnie i skończyć szkołę średnią, i studia, i rozpocząć pracę bez jakichś dramatycznych wydarzeń, takich jak 1976 rok.

LP: Dziękuję za tę ciekawą rozmowę.
JR: Dziękuję.

ŚWIADEK HISTORII: Marek Siedlecki
Uczestnik protestu społecznego z 25 czerwca 1976 r. w Radomiu

PRZEPROWADZAJĄCA WYWIAD: Izabela Kamińska, uczennica klasy II LB Policyjnej w Niepublicznym Liceum Ogólnokształcącym im. 72 Pułku Piechoty w Radomiu.

Izabela Kamińska (dalej IK): Ile miał Pan lat w czasie protestu 25 czerwca 1976 r.?
Marek Siedlecki (dalej MS): Miałem siedemnaście lat. Wtedy jeszcze nie byłem pełnoletni. Miałem niewątpliwą lub wątpliwą przyjemność kończyć osiemnastkę w więzieniu.

IK: Do której szkoły Pan uczęszczał?
MS: Byłem uczniem, absolwentem trzeciej klasy technikum, obecnego Zespołu Szkół Samochodowych w Radomiu. Pięć dni przed rozruchami zakończył się rok szkolny.

IK: W jaki sposób Pan znalazł się na ulicach Radomia, w dniu 25 czerwca? Przecież lekcji w szkole już nie było…
MS: Tak, jak wszyscy, a przynajmniej wielu młodych ludzi z daleka zobaczyłem dym nad miastem, który unosił się nad palącym się Komitetem Partii na ówczesnej ulicy 1 Maja [obecna 25 Czerwca]. Byłem wtedy na ulicy Gołębiowskiej, wtedy to było na przedmieściach Radomia. Ten dym wabił wielu ludzi, budził ciekawość, więc podszedłem. Zobaczyłem właśnie tłum ludzi, którzy wtedy już wypełniali ulice i plac przed Komitetem. Domagali się wyjaśnień odnośnie podwyżek.

IK: Jakie emocje towarzyszyły robotnikom wychodzącym z fabryk?
MS: Na pewno pozytywne, bo wszyscy szli z nadzieją, że idą coś wywalczyć. Ludziom się nie podobało to, co było ogłoszone dzień wcześniej przez premiera Jaroszewicza. Chodziło o podwyżki cen żywności. A te najbardziej dotykały tych ludzi, którzy byli najbiedniejsi. Wiadomo, że to nas wszystkich dotykało. Zatem protest to była euforia na pewno z nadzieją powiązana. Myślę, że szli pod Komitet [Komitet Wojewódzki PZPR w Radomiu], bo partia mieniła się obrońcą ludzi pracy. Szli pod Dom Partii, żeby poprosić o zmianę tych decyzji. Na początku to było wszystko grzeczne.

IK: Czy pan rozumiał wtedy robotników? Jak z pana perspektywy – ucznia, bardzo młodego człowieka – wyglądało wtedy życie w Radomiu, w Polsce?
MS: Rozumiałem bardzo dobrze, bo sam odczuwałem niedostatki. Widziałem, jak rodzice borykają się z tym wszystkim. Mama opiekowała się domem, tata pracował. Z jednej pensji było bardzo ciężko wyżyć. Mama ciągle wystawała w kolejkach za byle czym. Już o mięsie nie wspomnę, bo to całe noce nieraz trzeba było stać w kolejkach. Wszyscy narzekali.
Żyliśmy naprawdę, może nie w biedzie, ale bardzo skromnie.

IK: Dla współczesnej młodzieży ważną dziedziną są ubrania. Jak wy się wtedy ubieraliście? Dzisiaj nosimy markowe ciuchy. A wtedy jak to było?
MS: Nosiłem ubrania po rodzeństwie i po kuzynach, którzy byli na moje szczęście starsi o 2-3 lata. To była szarzyzna. Jeansy czy kurtki skórzane to była rzecz nieosiągalna dla nas.

Rzeczywistość była taka, że na jakieś markowe spodnie trzeba było chyba 2-3 miesiące pensję całą odłożyć. Więc to była taka rzeczywistość. Rower też był składany przez tatę, otrzymany gdzieś po jakichś starszych kuzynach. Szarzyzna, szarzyzna, jeszcze raz szarzyzna.

IK: Powiedział Pan, że markowe ubrania były bardzo drogie. Gdzie można było je kupić?
MS: Na pewno były sklepy, które pozwalały ludziom majętniejszym na zaopatrzenie się w jakieś lepsze ubrania. U nas w rodzinie, nie było na to szans. Wtedy jeszcze nie było Pewexów, które potworzono parę lat później. Zostawał bazar. Najpopularniejszy był bazar Różyckiego w Warszawie. Tam jeździło się na zakupy.
Wiem, że na przykład ludzie mieszkający nad morzem mieli jakiś dostęp do tych rzeczy przez marynarzy, którzy pływali i przywozili. Trudnili się dodatkowo tym handlem. U nas praktycznie też funkcjonował jakiś pokątny handel, to znaczy kupowało się prywatnie od kogoś, kto miał. Na sklepy nas na pewno nie było stać.

IK: Przejdźmy do wydarzeń już bezpośrednio 25 czerwca 1976 roku. Czy od początku planowano marsz pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR? Czy młodzi ludzie, którzy weszli w tłum, wiedzieli, dokąd idą?
MS: Nie, na pewno nie było to planowane. Każdy jakiś strajk z historii wiemy, że ma przywódcę. U nas nie było przywódcy żadnego. To było życiowe, to był odruch.
Po prostu ludzie doszli do wniosku, że już dosyć tego i trzeba coś z tym zrobić. Jedynym wyjściem była ulica. Partia zawłaszczyła wszystkie możliwości, manipulowała nami. To był praktycznie kult jednostki. Była propaganda, że Polska jest dziesiątą czy jedenastą potęgą w świecie. Tym nas karmiono. Więc jedynie taki protest umożliwiał uzyskanie czegokolwiek. Tak jak powiedziałem, ludzie wyszli pokojowo protestować z żądaniami cofnięcia podwyżek.
Tam nie było innych żądań. Ówczesny sekretarz partii był, można powiedzieć, nie włodarzem, ale władcą miasta. Wszyscy do niego szli po decyzję.
Obiecał ludziom przez okno, że zadzwoni do Warszawy. Przecież on nie mógł decydować o cofnięciu podwyżek. Zadzwonił do Warszawy, do Komitetu Centralnego Partii z przekazaniem żądań ludzi. W ciągu dwóch godzin powinna być odpowiedź. Wtedy ludzie rozsiedli się tam na trawnikach, bo to był bardzo ciepły czerwcowy dzień, słoneczny. To była taka forma pikniku. Czekali wszyscy. Nie było tam naprawdę złych jakichś zamiarów. Dopiero jak to się zaczęło przedłużać i dowiedzieliśmy się, że ówczesny I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu uciekł, to ludzie weszli po prostu do Komitetu. Nie mieli innego sposobu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Skoro do nich nikt nie wychodził, to oni weszli do budynku. Tam przekonali się, że nikogo nie ma.
Ci, którzy się ewakuowali, zostawili jednak te wszystkie dobra, jak telewizory, sprzęt AGD czy szynki itd. Robotnicy, którzy weszli do budynku zaczęli przez okna pokazywać te dobra tym, którzy stali na zewnątrz. Potem wyrzucali je przez okna, żeby pokazać, jak „biednie" żyli przywódcy naszego miasta. Telewizor kolorowy poleciał, poleciały jakieś szynki, ubrania, które też zostawili. My te rzeczy oglądaliśmy może raz do roku. Szynkę jedliśmy tylko w święta. Wtedy ludzie naprawdę już zaczęli być mocno zdenerwowani tym wszystkim. No i zaczęło się po prostu… Zaczęło się dewastowanie budynku.
[chwila zastanowienia]
Muszę powiedzieć, że też było sporo ludzi ze służb SB. Kręcili się także prowokatorzy i też podjudzali ludzi. Wiadomo, że jak padnie iskra, to ogień się od niej rozpali.

IK: W jaki sposób podjudzali? Co pan zaobserwował?
MS: Oni to po prostu utożsamiali z robotnikami. Nawoływali, żeby to dać wreszcie upust i rozwalić ten bałagan. I sami zaczęli to po prostu też robić. Wiadomo, że wśród też uczestników różni ludzie byli. Byli też i tacy, którzy podjęli temat i zaczęli niszczyć, dewastować. To się potem rozniosło na sklepy, na samochody, które były popalone, poprzewracane. No i tak to się praktycznie zaczęło. Wtedy milicji jeszcze nie było. Dopiero jak zaczęli ściągać posiłki samolotami ze szkółek w Szczytnie, m.in. z Pionek, bo to była szkółka ZOMO, wtedy ulice wypełniły się mundurami ZOMO. Oni próbowali na początku straszyć wyglądem. Dopiero jak dostali rozkaz, to ruszyli na nas, a my się zaczęliśmy bronić. Nie daliśmy się za bardzo łatwo spacyfikować, więc poszły w ruch kamienie, wszelkiego rodzaju możliwe rzeczy, które można było rzucać. Oni mieli tarcze, mieli granaty łzawiące, którymi strzelali w nas. Ja m.in. dostałem w ramię takim granatem.
Przewróciłem się, akurat wybuchł na mnie. Przez parę minut straciłem wzrok. Potem na szczęście odzyskałem. Wtedy zaczęła się po prostu już pacyfikacja. Praktycznie bito nas i wyłapywano. Powoli wszystkich kierowano na ulicę Kilińskiego do komendy milicji i tam już procedury zaczęli wprowadzać dla zatrzymanych. Stosowano przede wszystkim bicie i ścieżki zdrowia. Chyba chcieli, żeby te ścieżki zdrowia torowały nam drogę do komendy, żebyśmy czasem nie zabłądzili [gorzki uśmiech].

IK: Chciałabym, żebyśmy uporządkowali pewne fakty. W którym miejscu Radomia już podczas samego protestu Pan się dokładnie znajdował?
MS: Ja się przemieszczałem po ulicach, to stałem w jednym miejscu.

IK: Gdzie Pan został zatrzymany?
MS: Zostałem zatrzymany przy ulicy Żeromskiego na wprost ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego przez zomowca. Oczywiście to były zarzuty z jego strony fałszywe, że ja wcześniej byłem zatrzymany, że rzucałem kamieniami w szyby urzędu spod muszli koncertowej w parku, a tam jest około 200 metrów, także praktycznie się tam to wszystko kupy nie trzymało, ale wiara była jego i ścieżka zdrowia, pobicia, przesłuchanie. Na przesłuchaniu było też bicie. Podałem fałszywe dane, bo nie miałem żadnych dokumentów. Podczas transportu do więzienia uciekłem im, ale oczywiście nie udało się, bo byłem bez butów. Przy rogu ulicy Focha zatrzymano jeszcze raz i zawieziono z powrotem na komendę. Znów przeszedłem ścieżkę zdrowia i wtedy już prawdę powiedziałem, jak się nazywam. Bicie, strzyżenie z scyzorykiem, głowa zakrwawiona, ogólny siniak na całym ciele. Na drugi dzień sąd. Sądziła sędzia – aparatczyk komunistyczny, która nie miała nic wspólnego z prawem.
Trzy miesiące aresztu i wywózka do Białegostoku, do więzienia. Ta cała oprawa to była też, można powiedzieć, w każdym miejscu, gdzie nas przemieszczano. Wszędzie przebiegaliśmy po tych ścieżkach zdrowia.

IK: Proszę wyjaśnić, co to znaczyło ścieżki zdrowia?
MS: Ścieżka zdrowia to była kolumna, a raczej dwuszereg milicjantów, zomowców, milicjantów po cywilnemu, funkcjonariuszy SB, którzy również chodzili po cywilnemu. Ustawieni byli co dwa metry, szpaler po dwóch stronach. Nas przeganiano właśnie między nimi, a oni oprócz butów używali też jeszcze pałek takich dłuższych, które były do tłumienia rozruchów, bo normalnie mieli krótsze pałki jako milicja.

To była taka droga krzyżowa, można powiedzieć. Lali nas i kazali biec. Kto biegł za szybko to wracał, bo musiał swoją porcję dostać. Na przykład jeden z funkcjonariuszy powiedział, że jemu się nie udało kogoś dosięgnąć, więc musiał poprawić. No i jeden wielki ból, jedne wielkie silne plecy, nerki skopane. Te ścieżki zdrowia odbywały się i na ulicach, i na schodach w komendzie, i na terenie więzienia, do którego nas zawieźli, i podczas wyprowadzania z więzienia na sprawę sądową, a nawet podczas przywózki ze sprawy sądowej.
[chwila skupienia]
Ja już nie liczę, ile tych ścieżek zaliczyłem, ale to było masowe.

IK: Jak potoczyły się pana losy w kolejnych dniach po 25 czerwca?
MS: Na trzeci dzień już bodajże po proteście, bo oni robili to bardzo szybko, było ponad 700 osób zatrzymanych. Tak jak powiedziałem, po wyroku niesłusznym ja zostałem przewieziony do Białegostoku, do więzienia i tam osadzony przez 3 miesiące.
Po 2 miesiącach był transport z powrotem do Radomia. Myślałem, że tutaj nas wypuszczą po to, żeby nie opowiadać w tamtych rejonach o wydarzeniach, ale przyczyna była inna.
Z powrotem przywieźli mnie tu i w Radomiu dostałem nową sankcję od prokuratora. Praktycznie z tymi samymi zarzutami, czyli branie udziału w zamieszkach, dewastacja mienia, pobicia funkcjonariuszy. Dostałem sankcję miesiąc.
Następna sprawa odbyła się też w sądzie tu w Radomiu. Wtedy już włączył się KOR, który powstał, czyli Komitet Obrony Robotników. Właśnie przez KOR dostałem adwokata mecenasa Siłę Nowickiego [Władysław Siła-Nowicki, w 1939 r. przedwojenny prawnik żołnierz-kawalerzysta, powstaniec warszawski, więzień w okresie stalinowskim, po 1956 r. był obrońcą w licznych procesach rehabilitacyjnych żołnierzy AK i WiN, a następnie był doradcą prawnym Episkopatu Polski Obrońca w procesach politycznych m.in. KOR, KPN, a także członków "Solidarności" w okresie stanu wojennego], który bronił mnie i wybronił, bo na sprawie, która się odbyła bodajże we wrześniu, sędzia domagał się czterech lat więzienia.
Mecenas Siła Nowicki podważył jego wyrok, argumentując, że nie można karać dwa razy za to samo. Dostałem zamian dwa lata w zawieszeniu na cztery lata.

IK: Jak zareagowała szkoła? Przecież był Pan jeszcze uczniem…
MS: W połowie września jakoś tak, po wyjściu z więzienia, pierwsze moje kroki to było właśnie skierowanie się do szkoły w celu kontynuowania nauki. Ówczesny dyrektor pokazał mi palcem drzwi i powiedział, że dla warchołów miejsca w tej szkole nie ma. Pozbawił mnie złudzeń. Stałem się, można powiedzieć, człowiekiem już dorosłym, bo 18 lat kończyłem w więzieniu. Szukałem pracy, bo co miałem za wyjście. Poza tym miałem kuratora. W tym wyroku dwa lata na cztery w zawieszeniu był jeszcze kurator, który doglądał moich poczynań i pilnował, żebym czasem nie podpalił znowu Polski. Szybciutko dostałem powołanie do wojska, do marynarki wojennej, do Świnoujścia.
Służyłem tam z innymi uczestnikami radomskiego protestu, którzy dzisiaj są członkami Stowarzyszenia Czerwiec'76. Oni mieli podobną historię jak ja. W wojsku też miałem kuratora. Po wyjściu z wojska oczywiście dalej kurator. Założyłem rodzinę i przeniosłem się z Pomorza, z Międzyzdrojów do Radomia. Oczywiście wlokła się za mną niemożność podjęcia zatrudnienia. Ukrywałem swoją karalność i gdzieś się zahaczyłem do jakiejś pracy jako kierowca. Oczywiście prawo jazdy sobie zrobiłem też na swój koszt, bo wyrzucając mnie ze szkoły „Samochodówki" pozbawiono mnie też tej możliwości. Nie miałem spokoju. Byłem zwalniany lub robili mi taką możliwość, że sam się zwalniałem, żeby mi nie zaszkodzić. W 1988 roku udało mi się zdobyć

paszport – zresztą nielegalnie – i wyjechałem na siedmiodniową wycieczkę do Grecji, z której już nie wróciłem. W ten sposób zaczął się mój nowy etap życia poza krajem.

IK: Jaki był ten etap? Czym zajmował się Pan w Grecji?
MS: Zgłosiłem się jako azylant na policję. Dosłano mi z Polski, też potajemnie, tutaj parę osób mi pomogło, dokumenty moje, wyroki moje sądowe. Tam byłem emigrantem politycznym. Dwa lata w Grecji czekałem a potem złożyłem wniosek o wyjazd do Stanów Zjednoczonych [Ameryki Północnej]. Po dwóch latach dostałem możliwość wyjazdu do Stanów jako uchodźca. Tam po roku dostałem zieloną kartę. No i zaczęła się moja kariera zawodowa w Stanach Zjednoczonych. Moim marzeniem było to, żeby się uczyć języków obcych. Tak że to akurat tam miałem taką możliwość, żeby się angielskiego, amerykańskiego uczyć. Może nie do końca, ale...

IK: Czym zajmował się Pan w Stanach Zjednoczonych?
MS: Łatwiej i szybciej byłoby, jakby zapytać czym się nie zajmowałem. Przede wszystkim była to budowlanka [branża budowlana]. Miałem też plany jeździć na truckach, ale jednak potem firmę budowlaną sobie założyłem wraz z kolegą. Dopiero po 2006 roku wróciłem już na stałe do Polski. Działam w Stowarzyszeniu Radomski Czerwiec. Krzewimy tą pamięć i tę historię jak możemy. Myślę, że ta żywa historia opowiadana przez nas najłatwiej dociera do młodych ludzi. Życzę im innej historii niż moja.

IK: Czego tamte wydarzenia powinny nauczyć dzisiejsze młode pokolenia Polaków?
MS: Na pewno patriotyzmu i świadomości, że gdyby przyszła taka sytuacja jak spotkała nas, żeby też młodzi ludzie potrafili stanąć po właściwej stronie barykady i bronić wolności Polski. Bo to jest wasza przyszłość i waszych dzieci. I nasza, póki jeszcze żyjemy …

Świadek historii: Tomasz Świtka

W latach 70. był ministrantem w parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Trablicach-Pelagowie, gdzie posługę proboszcza pełnił ksiądz Roman Kotlarz – kapłan, który 25 czerwca 1976 r. błogosławił protestujących robotników na ulicach Radomia a później upominał się o prawa robotników głosząc kazania w kościele w Pelagowie-Trablicach. Jak wynika z publikacji IPN, te homilie rejestrowała Służba Bezpieczeństwa, a sam ksiądz był represjonowany. Kapłan zmarł nagle w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach 18 sierpnia 1976 r.

Przeprowadzająca wywiad: Anna Kozłowska, uczennica klasy 1A I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Radomiu.

Anna Kozłowska (dalej AK): Kiedy służył Pan jako ministrant w parafii Matki Bożej Częstochowskiej, u księdza Kotlarza? Ile miał Pan wtedy lat?
Tomasz Świtka (dalej TŚ): Zacząłem służyć, chyba jak miałem cztery lata, a skończyłem chyba na pogrzebie księdza Romana Kotlarza, jak już miałem siedemnaście lat.

AK: Jak zapamiętał Pan swoją parafię w Pelagowie w czas tamtego okresu? Jaki to był kościół? Jaka panowała w nim atmosfera?
TŚ: Pelagów kiedyś był wsią niemiecką. Kiedy Niemców już tu nie było, dostaliśmy ten kościół po wojnie. Wcześniej katolicy z Pelagowa należeli chyba do parafii farnej, później na Borkach, no a ostatecznie otrzymaliśmy ten poniemiecki kościół w Pelagowie. Jaki to był kościół? Drewniany [chwila zastanowienia]… a jaka była parafia? Podmiejska. Należała do niej także część dzielnicy Radomia. Ksiądz się też opiekował szpitalem w Krychnowicach. Parafia była więc dosyć taka rozległa, ale fajna. Do służenia do mszy świętych przychodziła z przyjemnością bardzo duża grupa młodzieży męskiej. Byliśmy obecni nie tylko w niedzielę, ale i na tygodniu. Ksiądz Kotlarz odprawiał mszę niezależnie od tego, czy miał intencję, czy nie. Msza święta była odprawiana codziennie.

AK: Czy pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z księdzem Romanem Kotlarzem?
TŚ: To może być trochę śmieszne, ale pamiętam. Chyba miałem wtedy cztery lata. To spotkanie miało miejsce na początku grudnia, jeszcze wierzyłem w świętego Mikołaja. Moja siostra, chociaż była rok młodsza, już nie wierzyła, ale ja tak. Nasi rodzice kupili nam jakieś prezenty. Siostra dostała lalkę, a ja taki samochód straży pożarnej z drewna. Rodzice nieśli to gdzieś tam schowane pod płaszczami, a ksiądz Kotlarz, przebrany za tego Mikołaja, wręczał te prezenty właśnie już tam po mszy w takiej przybudówce, która była przy kościele. To było pierwsze spotkanie z nim, jakie zapamiętałem [śmiech]. Utkwił mi w pamięci też trochę inny choć podobny obraz. Była solidna, śnieżna, siarczysta zima. Ksiądz Kotlarz też jako święty Mikołaj jechał na saniach przez wieś. Myśmy mieszkali już za wsią. Pamiętam, że zajechały sanie, słyszałem dzwonki. Wyszliśmy przed dom. Rodzice chyba wiedzieli, że ksiądz Kotlarz, a właściwie święty Mikołaj, przyjechał. On wtedy wyrzucił z tych sań cukierki i pojechał dalej.

AK: Proszę się przyznać, czy zorientował się pan, że to proboszcz a nie święty Mikołaj?
TŚ: Nie. Ksiądz bardzo dobrze grał swoją rolę świętego Mikołaja [śmiech].

AK: Jaki ksiądz Kotlarz był – surowy i wymagający, czy raczej opiekuńczy i pobłażliwy?
TŚ: No na pewno nie pozwalał nam rozrabiać. Poszliśmy na przykład na orzechy, ale pani, która nas tam widziała, poszła do księdza na skargę. Proboszcz sprawdził nam dłonie – po orzechach jak wiadomo skóra brązowieje. Ksiądz już nawet nie musiał się pytać, kto podkradał te orzechy. Było nam wstyd i oczywiście dostaliśmy burę.
Myślę, że wiele razy przymykał oczy na nasze smykowate sprawki. Proboszcz miał motorower, taką „Jawkę" [kultowy w czasach PRL motorower marki Jawa 50, produkowany od lat 50. do 80. w Czechosłowacji]. Wiadomo, jak to młode chłopaki, interesowaliśmy się motoryzacją i bardzo chcieliśmy się na tej „Jawce" przejechać. Kiedy ksiądz był czymś zajęty, a zostawił ten motorower, to po kolei siadaliśmy i jeździliśmy. Oczywiście najczęściej urywaliśmy linkę od gazu, więc później tę linkę wiązaliśmy kombinerkami i gwoździa żeśmy wkładali, licząc na to, że ksiądz będzie mógł jechać na tej „Jawce". Faktycznie proboszcz tak jeździł, dopóki sobie nowej linki nie kupił. Trochę to trwało, bo to wtedy trudno było cokolwiek dostać w sklepach. Ksiądz Roman Kotlarz był bardzo skromnym i oszczędnym proboszczem. Nie zatrudniał ani gospodyni, ani organisty, ani kościelnego. Wszystko robił sam: dekorował kościół, sprzątał, pewnie coś sobie gotował. Z tego, co wiem, korzystał też ze stołówki prowadzonej przez siostry zakonne przy parafii farnej w Radomiu.

AK: Dlaczego nie zatrudniał gospodyni, dlaczego nie było kościelnego?
TŚ: Myślę, że parafii nie było na to stać. Ksiądz Kotlarz za posługi duszpasterskie brał opłaty „co łaska", więc te pieniążki, co wpływały do kasy były pewnie nieduże. Oczywiście też musiał płacić podatki. Byłem za mały, by orientować się w sprawach finansowych parafii, ale ksiądz się przyjaźnił z moim tatą i był bardzo często gościem u nas w domu. Byłem świadkiem na przykład sytuacji, gdy po chrzcie dziecka ojciec chrzestny przyniósł do kancelarii pewną kwotę. Ksiądz Kotlarz połowę mu oddał i powiedział, że to za dużo.

AK: Ksiądz Roman Kotlarz był znany z wrażliwości na potrzeby ubogich oraz z opieki, jaką sprawował nad pacjentami szpitala w Krychnowicach. Czy ministranci pomagali mu w tych działaniach?
TŚ: No tak, ksiądz Kotlarz do szpitala chodził właściwie codziennie i to było po wieczornej mszy, więc nie zabierał ze sobą ministrantów, ale pomagaliśmy przygotować tę posługę. Do moich obowiązków należało szykowanie komunikantów, ewentualnie dużej hostii i oczywiście też ampułki z winem, jeśli w szpitalu w Krychnowicach ksiądz Roman miał odprawiać mszę świętą. Moja i kolegów ministrantów pomoc polegała na tym, żeby księdza spakować. Tak było codziennie. Ksiądz każdego dnia przechodził około czterech kilometrów do szpitala w Krychnowicach.

AK: W latach 70. parafie organizowały czas wolny dla dzieci i młodzieży. Czy w Pelagowie-Trablicach też tak było?
TŚ: Tak, bardzośmy sobie księdza cenili i szanowali za to, że nam organizował wycieczki. Mieliśmy różne pielgrzymki. Bardzo dobrze zapamiętałem jedną z pierwszych pielgrzymek do Częstochowy, na którą ksiądz zabrał nas, ministrantów. Myślę, że wtedy to chyba jeszcze nawet nie byłem u Komunii. Ksiądz miał taki talent, że umiał odróżnić, do czego się nadajesz, co możesz zrobić, a co nie potrafisz zrobić. Ja nie umiałem śpiewać, słabo czytałem, więc oczywiście wtedy w Częstochowie inni chłopcy byli ode mnie lepsi. Dlatego to ja lekcjonarz trzymałem nad głową, a chłopaki śpiewali. Po mszy całą grupą wyszliśmy na mury, na

zwiedzanie. Ksiądz mnie wtedy zapytał, o co prosiłem Matkę Bożą. Odpowiedziałem, że o to, żeby mi było dobrze w życiu. Na to ksiądz powiedział: „nie proś o to, co byś chciał, tylko o to, co jest lepsze dla ciebie". Te słowa zrozumiałem dopiero po latach, jak przyszło mi się zmierzyć z różnymi trudnościami.

AK: Jak Pan zapamiętał dzień 25 czerwca 1976 roku?
TŚ: Myślę, że odpowiadając na to pytanie, zacznę od wieczoru 24 czerwca, bo to pamiętny dzień i rzadki dzień, czyli imieniny Jana i Janiny. Ksiądz Kotlarz znał w parafii wszystkich – można powiedzieć od kołyski po grobową deskę, czyli od malucha do starca. Zapamiętałem, jak wtedy ksiądz szedł przez wieś i składał imieninowe życzenia. W naszej rodzinie siostra mojego taty jest Janka, a jej mąż miał na imię Janek. Tamtego wieczoru oboje wykonywali najgorszą robotę, jaką można robić, czyli wyrzucali obornik. Mieli taką małą wiejską obórkę, gdzie stały dwie świnki, jedna krowa i jeden koń. Wtedy ksiądz przyszedł do nich, składał życzenia i częstował cukierkami. Ksiądz wstąpił też do nas, bo był u nas brat mamy, który również miał na imię Janek. Pamiętam rozmowę dorosłych o tym, że w telewizji premier zapowiedział te drakońskie podwyżki cen żywności. Pamiętam, jak ksiądz wtedy powiedział do taty, że być może Wybrzeże, Warszawa, Śląsk te podwyżki zniosą, ale biedny Radom tego nie wytrzyma. Wiem, że 25 czerwca ksiądz już rano był w Radomiu. Stał przed kościołem pod wezwaniem Świętej Trójcy i błogosławił protestujących. Dawał im rozgrzeszenie, jakie kapłan daje w sytuacji, gdy człowiekowi może przytrafić się to, co najgorsze, czyli śmierć. I tak się stało, bo dwóch robotników zginęło.

AK: Czy Pan wtedy też był w Radomiu?
TŚ: Tak. Pojechałem do Radomia po chleb się załapałem na ten protest, na właściwie marsz robotników pod urząd partii [Komitet Wojewódzki PZPR, obecnie siedziba Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu]. Byłem przed tym budynkiem, gdy gromadzili się robotnicy i chcieli rozmawiać z władzą o odwołaniu podwyżek. Miałem wtedy 17 lat i chciałem zobaczyć, co się dzieje. Jednak u nas było tynkowanie nowego domu i musiałem szybko wracać z tym chlebem, więc już około dziewiątej godziny odszedłem i wróciłem do Pelagowa. Nie widziałem brutalnego stłumienia protestu. W Radomiu była też moja siostra, która załatwiała swoje sprawy. Wróciła późno, czyli około siedemnastej czy osiemnastej. Opowiadała przerażona, co się działo. Ponieważ w domu było tynkowanie, ja i mój o cztery lata młodszy brat spaliśmy na sianie w stodole. Opowiadanie siostry zrobiło na nas takie wrażenie, że około czwartej rano 26 czerwca wyszliśmy, oczywiście po kryjomu, żeby mama i tata nie widzieli, i pomaszerowaliśmy do Radomia. Do centrum miasta szliśmy przez Godów i Młodzianów. Już na ulicy Domagalskiego widzieliśmy powybijane szyby. Na ulicach było dużo gazu, przeszliśmy tunelem koło naszej katedry, tu jeszcze była ta hala Radoskóru. Gazu było tyle w powietrzu, że łzy nam z oczu leciały. Nikogo nie było na mieście. Przeszliśmy oczywiście pod Urząd Wojewódzki, on też był osmolony, podpalony, były spalone kioski i samochody. Doszliśmy do Domu Partii [Komitetu Wojewódzkiego PZPR], który został spalony i tam już pracowali junacy z OHP w maskach przeciwgazowych, bo nie dało się wytrzymać gryzącego gazu. Wszystkie okna w mieście były pozamykane. Koło Domu Partii było trzech milicjantów. Mimo moich 17 lat miałem bardzo niski wzrost. Mój brat był jeszcze mniejszy. No i my, tacy naiwni chłopcy, zapytaliśmy, czy możemy wejść do Domu Partii i zobaczyć go od środka. Wtedy jeden z milicjantów wyjął pałkę i zamachnął się w moją stronę. Gdzieś tam koło ucha przeleciała ta pała. Po tym już nas strach obleciał, tośmy wtedy nie byli zuchy i szybko wracaliśmy do domu.

Mogę dzisiaj powiedzieć, że widziałem Radom o godzinie piątej rano, który był spacyfikowany, kompletnie zagazowany i nie spotkaliśmy nikogo na ulicy.

AK: Kiedy i w jakich okolicznościach dowiedział się Pan, że ksiądz Kotlarz pobłogosławił protestujących robotników?
TŚ: Myślę, że ja od samego księdza się dowiedziałem tego. W kolejnych dniach na mszach, w kazaniach mówił do protestujących robotników. Wiedział przecież, że byli zamykani w więzieniach i prześladowani. Myślę, że sam to powiedział, że był z tymi ludźmi i ich błogosławił. To musiało być powiedziane już u nas w kościele. Ksiądz Kotlarz później był inwigilowany, nagrywane były jego msze. Sam wyłączałem mikrofon, żeby poza kościołem nie było słychać za dużo. Mieliśmy w kościele na zewnątrz jeden głośnik, który można było wyłączyć oddzielnie. Był używany w czasie mszy, gdy ludzie nie mieścili w kościele i stali na zewnątrz. Zapamiętałem taką sytuację: ksiądz tak nerwowo patrzył na szutrową drogę, która biegła przez Pelagów. Plebania była przy samej tej drodze, jakieś 150 metrów dalej. Ksiądz najpierw sam patrzył, a potem kazał mi wyjść i zobaczyć. Nie wiedziałem bardzo, na co mam zwrócić uwagę, ale skoro proboszcz kazał, to poszedłem. Zobaczyłem, że stoi koło plebanii taksówka, a obok auta – trzech mężczyzn. Jeden z nich szedł w stronę kościoła. No to wtedy ksiądz mi kazał ten mikrofon – głośnik wyłączyć. Dzisiaj wiem, że ksiądz Kotlarz już od czasów, gdy był klerykiem, systematycznie był inwigilowany. Nawet miał swoich takich opiekunów ze służb bezpieczeństwa. To wiemy dzisiaj z IPN-u czy z historii. Wtedy nie miałem o tym pojęcia.

AK: Czy po 25 czerwca zmieniło się zachowanie księdza?
TŚ: Myślę, że po samym 25 czerwca to jeszcze nie. Ksiądz był taki, jak zawsze, czyli rzeczowy i mówił bardzo ładne kazania. Był bardzo takim energicznym człowiekiem, którego da się lubić. Jego postawa, zachowanie zmieniły się może na tydzień albo na dwa przed śmiercią. Pamiętam dzień, gdy przyszedłem do służenia do mszy świętej, spotkaliśmy się przy kościele i przez salkę katechetyczną weszliśmy do zakrystii. I ksiądz właśnie wtedy zatrzymał się, tak dziwnie popatrzył i powiedział: „o patrz Tomek, lecą bomby. Trafiają w moje plecy". Podniósł sutannę, porzucił i powtórzył „w moje plecy trafiają". I te jego plecy były takie czarne jak sutanna.

AK: Kiedy Pan się dowiedział, czy kiedy Pan zrozumiał, że ksiądz był nachodzony, bity na plebani? Czy w parafii wiedziano o tym, czy próbowaliście jakoś bronić proboszcza?
TŚ: Myślę, że starsze osoby to wiedziały o tym. Wtedy jeszcze chodziły tak zwane straże, które z urzędu miały pilnować wsi. To była taka tradycja. Myślę, że oni zwracali uwagę na plebanię. Druga rzecz to były takie dyżury, czyli nocowanie na plebanii. Ja i mój tata też tam spaliśmy. Nic złego się wtedy akurat nie działo. Oglądaliśmy film w telewizji.
Wtedy miałem 17 lat i byłem za młody, żeby znać szczegóły takich spraw. Wiem, że ksiądz mówił do tych mężczyzn, którzy chcieli go chronić, pilnować: „słuchajcie, no co mnie mogą zrobić? Wy to macie dzieci, żony, wam to mogą coś zrobić, a mnie to nic nie mogą zrobić". [chwila zadumy]. A jednak zrobili.

AK: Czy pamięta Pan moment, kiedy podczas Mszy Świętej ksiądz Kotlarz zasłabł?
TŚ: Nie, ja nie byłem na tej mszy. Wiem tylko z opowiadań, że ksiądz właśnie 15 sierpnia w święto Matki Bożej, zasłabł odprawiając mszę. Upadając jeszcze krzyknął; „Matko ratuj".

Później został zabrany do szpitala w Krychnowicach, w którym był kapelanem. Tam po trzech dniach zmarł.

AK: Kiedy Pan dowiedział się o jego śmierci?
TŚ: Biły dzwony. To było dziwne, że rano biły dzwony, więc lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że ksiądz nie żyje.

AK: Brał Pan udział w uroczystościach pogrzebowych. Jak Pan zapamiętał tamten dzień?
TŚ: Dla mnie to świat się zawalił po śmierci księdza Kotlarza. Teraz, jak oglądam zdjęcia z pogrzebu, to nawet nie wiem, czy ja założyłem komżę, czy ja wtedy służyłem do mszy pogrzebowej. Stałem osłupiały, no nie ten człowiek po prostu. Mnie się wydawało, że to już koniec świata. Te uroczystości zaczęły się w Pelagowie, ale nie tu spoczął ksiądz. Przez Pelagów był niesiony w trumnie, na barkach ludzi, którzy szli w kondukcie, także robotników. Droga miała około czterech kilometrów i była usłana kwiatami. Pamiętam, że kiedy przechodziła trumna koło plebani, wył księdza pies. Zresztą go później ktoś otruł [chwila ciszy, łzy]. Rodzina księdza Kotlarza chciała go pochować w Radomiu albo w Pelagowie-Trablicach, no ale władza ludowa powiedziała, że dla bandyty nie ma miejsca. Wtedy jego ojciec powiedział: „jedziesz do domu, do Koniemłotów". Jest pochowany razem z matką w rodzinnym grobie. My delegacja z Trablic, jesteśmy tam właściwie co roku.

AK: Kim dla Pana jest dzisiaj ksiądz Roman Kotlarz, bohaterem, męczennikiem, przyjacielem z dzieciństwa?
TŚ: Pamiętam lekcję religii, kiedy przyjechał do Pelagowa po śmierci swojej mamy. Byłem wtedy ministrantem. Kazał mi zapalić świecę, ustawić katafalk i taki czarny krzyż. Wtedy przekonałem się właściwie, jak należy kochać mamę, jak ją trzeba szanować, jak się trzeba cieszyć, że się ją ma, jak jej trzeba słuchać. To mi zostało po księdzu Kotlarzu.



Patriotyzm-to rzetelna praca!

Echo Skórzanych

Na wielkim wiecu – 30 czerwca 1976 r.

Odbudować

stracone

zaufanie

Wystąpienie prezydenta miasta Radomia, Tadeusza Karwickiego

Akcja – „Lato 76"

ZDK poleca...

Rzetelna praca-to dobrobyt!

Kolonijna kronika



Na wielkim wiecu 30 czerwca

JAKOŚĆ

Zmartwienia młodzieżowców

Kto tu zawinił?

ZDK poleca...

Jedni wypoczywają — inni pracują



Demokracji trzeba się rzetelnie i mądrze uczyć

Co nam utrudnia pracę?

Więcej troski o maszyny i urządzenia

Mleko w kanale

Dostać musimy – wypić nie chcemy!

Hale muszą wyglądać jak nowe



Żanim wyruszysz na wakacje...

W ramach postoju fabryki

Zgrzyty

Więcej troski o maszyny i urządzenia

Hale muszą wyglądać jak nowe

Jedni wypoczywają- inni pracują

Synteza krzyżówki olimpijskiej

ZDK zaprasza

Na stadionie



Patriotyzm – to rzetelna praca!

ŻYCIE Załogi

Musimy zmyć hańbę

Odpowiedzialność i rozwaga

Jest mi wstyd...

Zostań honorowym dawcą krwi!

Przedstawiamy..

Tylko uczciwą pracą możemy odbudować stracone zaufanie



Uczciwą, solidną pracą odbudujemy stracone zaufanie

Tylko uczciwą pracą możemy odbudować stracone zaufanie

Faza przemyśleń i działania

Oni chronili zakład

Odpowiedzialność i rozwaga

Poczta redakcyjna



Żyjorzysz pisana walką

Bojowniczka Ruchu Oporu

Sens dojrzałości

Dzień Dziecka

Nasze rozmowy

Fundusz mistrzowski

Konkurs dla inżynierów i techników



Stosować kary zgodnie z regulaminem

Ciekawostki olimpijskie

Bohaterowie Igrzysk

Konkurs dla inżynierów i techników

Informacja ZOITE

Faza przemyśleń i działania

Lato w mieście

Informacje

Redakcyjna POCZTA

Nauczyliście się wszystko upraszczać i nadawać taki bieg wypadkom jaki dla was jest najkorzystniejszy.

Radomscy robotnicy to nie "złodzieje ani chuligani" ale ciężko pracująca klasa robotnicza walcząca o swoją godność. Jeśli myślicie inaczej to pochylcie się nad dalszymi stronicami tekstu.

JEST ON SZCZERY - AUTENTYCZNY

K-s.

ścieżki zdrowia

Cytowane fragmenty opisu "ścieżek zdrowia" pozwalają przypuszczać, iż metody torturowania stosowane czerwcem 1976r. w Radomiu są metodami wyćwiczonymi i wyuczonymi przez Zmechanizowane Oddziały Milicji Obywatelskiej, które dla Sejmu i Rządu winny być sygnałem alarmowym.

Przytoczone fragmenty pozostawiamy bez komentarzy i bez poprawek, aby móc oddać pełną rzeczywistość tamtych dni.

Ryszard L. /uczeń/

"Będą na Placu Zwycięstwa zauważyłem unoszący się dym. Gdy doszedłem na ulicę 1 Maja zobaczyłem tłum ludzi i palący się budynek KW. /.../ Po ucichnięciu starć między milicją a ludnością, w których nie brałem udziału wszedłem na teren KW PZPR, na którym znajdowało się dużo ludzi oglądających ten budynek. /.../ Stojąc przed budynkiem zapytałem jednego z milicjantów czy mógłbym wejść do środka, na co ten wyraził zgodę. Po obejrzeniu budynku wewnątrz wyszedłem z powrotem na plac znajdujący się za budynkiem KW PZPR.

Dnia 1.07.1976r. w godzinach popołudniowych przyjechało do mojego domu czterech funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy zaczęli czegoś szukać. Przeprowadzili rewizję bez nakazu i nic nie znaleźli. Przed KW MO zaczęli się wyśmiewać i mówili, że szkoda iż nie ma "ścieżek zdrowia" ale my mu pokażemy. /.../ zabrano mnie na przesłuchanie /.../ nagle poczułem trzy mocne uderzenia w plecy pałkami -"na dobry początek"-tak to powiedział jeden ze stojących za mną funkcjonariuszy. W czasie zeznań funkcjonariusz zarzucał mi iż budynek KW PZPR jaki i milicję obrzuciłem kamieniami, wynosiłem z tego budynku różne rzeczy, podpaliłem samochody./.../ Do zarzutu jakie mi postawiono nie chciałem się przyznać, gdyż były to kłamstwa i właśnie to spowodowało iż nagle poczułem znowu silne uderzenie w plecy ... Dwóch funkcjonariu— MO doszkoczyło do mnie, chwycili za ręce i posadzili ... krzesło przodem do oparcia i zaczęli bić. Bili mnie po plecach i głowie. /.../ Byłem w takim stanie, że nie pamiętam ile i na czym złożyłem podpisy /.../ zarzuty są nieprawdą, wymuszono je na mnie. /.../ Trzymali mnie do niedzieli. Przewieziono mnie do aresztu śledczego. W areszcie śledczym traktowano nas nieludzko ... kilka razy dostałem od strażnika kluczami po plecach. Dnia 5 sierpnia 1976r. w grupie 5-osobowej skazano mnie niesłusznie mimo, iż jakichkolwiek innych przesłuchań ze mną nie prowadzono i bez dowodów, na karę 5 lat pozbawienia wolności - wyrok Sądu Wojewódzkiego za czyn z art. [illegible]/75 §1. Przesłuchania i pobyt w więzieniu spowodowały, iż obecnie nie mogę pracować fizycznie, gdyż nie pozwala mi na to zdrowie.

Henryk G.

/.../ Po przyjściu z pracy do domu żona mi oświadczyła, że nie ma ani kawałka chleba i żebym poszedł ja, bo ona się boi wyjść. Na ulicy Żeromskiego, sklepy były pozamykane. A funkcjonariusze MO jeździli samochodem i kto im się podwinął bili i zabierali do samochodu. /.../ Przechodząc obok komendy podeszło do mnie dwóch funkcjonariuszy, prosząc o dowód osobisty /.../ kazano mi pokazać ręce czy nie porżnięte o szkło. [illegible] żyli, że nie [illegible] żadnych zkaz, jeden z nich powiedział -"legitymujemy pana na komendzie". Więc idę, roztworzyli mi drzwi wejściowe, nagle poczułem potężne uderzenie pięścią w twarz, zalałem się krwią ... Zaprowadzono mnie na hol, do kapitana milicji. Zacząłem się tłumaczyć - proszę mnie puścić do domu, bo czeka na mnie żona i dzieci. Oddał mi dowód i uderzył mnie w twarz. Gdy się przewróciłem, dwóch funkcjonariuszy mnie podniosło i zaprowadzili mnie do sali, w której było już dużo mężczyzn i parę kobiet. Gdy mnie prowadzili po drodze znów obijano mi plecy i twarz pałkami, nawet poczułem kopnięcie. /.../ byłem świadkiem jak kapral milicji kopał przewróconą na ziemię kobietę w ciąży. Po chwili zwołano mnie do stolika, pokazano pół litra wódki, które stało i jeden z MO mówi - "to kolego twoje" - zacząłem się tłumaczyć, że nie i znów dostałem pięścią w nos. /.../ spisali protokół i słyszałem jak jeden mówił do drugiego - "co mu wpisać"? - drugi mówi - "wpisz mu rzucanie kamieniami w milicjantów".

/.../ zawieziono nas do aresztu śledczego na ul. Malczewskiego.

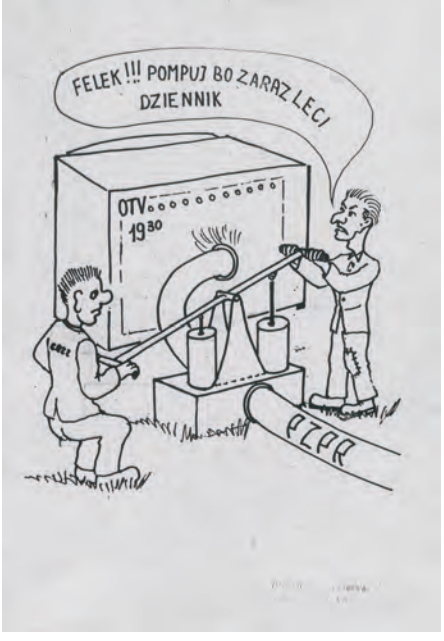

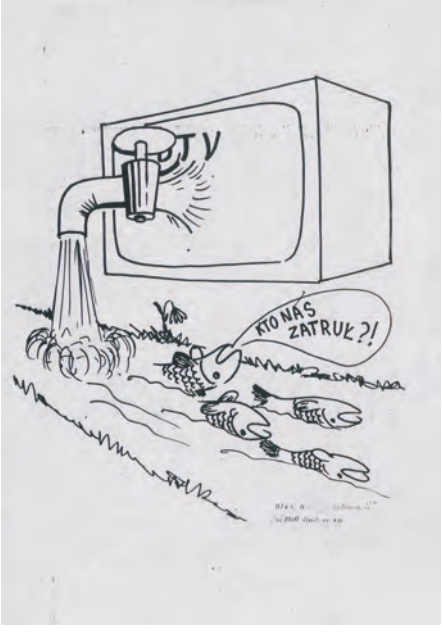


ŻYCIE RADOMSKIE

BĘDZIEMY PRACOWAĆ TAK, ABY ODZYSKAĆ ZAUFANIE

W poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności wyciągamy wnioski z wydarzeń w naszym mieście

Demokracja – to ład, rozum i porządek!

40-tysięczna manifestacja ludzi pracy

Konferencja Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy zakończyła obrady


ŻYCIE RADOMSKIE

STANOWCZY GŁOS PRACUJĄCEJ POLSKI

Popieramy politykę partii i rządu
Popieramy program rozwoju kraju
Potępiamy burzycieli porządku publicznego
Masowe wiece w miastach i zakładach pracy
Listy i depesze do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Piotra Jaroszewicza

Pod rozwagę

Na półmetku I półrocza
Dodatkowa produkcja na rynek i eksport
Wydajna praca załóg przemysłowych


ŻYCIE RADOMSKIE

NIEZŁOMNA WOLA DALSZEGO URZECZYWISTNIANIA PROGRAMU WSZECHSTRONNEGO ROZWOJU OJCZYZNY

Pełne poparcie dla słusznej polityki partii i rządu

Wielotysięczne wiece w miastach i fabrykach • Wielka manifestacja w stolicy
Tysiące telegramów i listów do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Piotra Jaroszewicza

KATOWICE

POZNAŃ

WARSZAWA

Głos przyjaciół Polski


Wichrzycielom i demagogom mówimy: NIE!

Uczciwą, solidną pracą odbudujemy stracone zaufanie

Ludzie pracy miast i wsi manifestują poparcie dla polityki partii i rządu

Wielki wiec w Radomiu

Słowo ludu

Przywrócić dobre imię miastu

Dziś i jutro egzaminy wstępne w uczelniach

Szuza w Europie zachodniej przybiera dramatyczne rozmiary

ZE ŚWIATA – W SKRÓCIE

GŁOS PRACUJĄCEGO

y politykę partii i rz
y program rozwoi
y burzycieli p
wiece w m
ze do I se
u Polskiej Rz

la Gierka do premiera Piotra Jaro
i listów z całego kraju, wyrażających
lu, dla programu wytyczonego przez VI
ego przez VII Zjazd partii.

ołują się na obek socjalny niespotykaną u dynamikę kalę — znam świecie — darczych Pol-

arysowane w cji, tło społe- i lista uwa- — jak ak- telegramów inny, tak jak nymi czynni- w realizacji oju kraju i ków życia na-

czeniu solidnej i sumiennej pracy, o konieczności poprawy jakości i wzrostu wydajności pracy, o konieczności poprawy jakości i wzrostu wydajności produkcji, o potrzebie dyscypliny i zdyscyplinowania. Mają swoją głęboką wymowę wielokrotnie wyrażane w depeszach zapewnienia załóg i indywidualnie — robotników, iż nie będą oni szczędzić sił i starań w rzetelnym, patriotycznym trudzie dla kraju. Wskazuje się przy tym, że dyscyplina społeczna jest niezbędnym



Praca odpowiedzialnym zadaniem

Dziś 12 stron

Trwała rzetelna praca zapewnimy lepsze życie naszym rodzinom i silną pozycję Polski w świecie

Konferencja Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy zakończyła obrady

Demokracja – to ład, rozum i porządek

40-tysięczna manifestacja ludzi pracy

Radom musi odzyskać dobre imię

Przemówienie prezydenta miasta Tadeusza Karwickiego

ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

do podziału

jutro

stępne

ach

STANOWCZY GŁOS PRACUJĄCEJ POLSKI

Popieramy politykę partii i rządu
Popieramy program rozwoju kraju
Potępiamy burzycieli porządku publicznego

Masowe wiece w miastach i zakładach pracy

Listy i depesze do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Piotra Jaroszewicza

(A) Do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka do premiera Piotra Jaroszewicza napływają nadal setki telegramów i listów z całego kraju, wyrażających pełne poparcie dla polityki partii i rządu, dla programu wytyczonego przez VI Zjazd PZPR i konsekwentnie rozwiniętego przez VII Zjazd partii.

Autorzy przesłań się na imponujący dorobek zwłaszcza ostatnich lat, na niezaprzeczalne w historii kraju dynamizm przemian, na siłę — znajdujących w całym świecie — sukcesów gospodarczych Polski.

Bogate jest zarzewianie w tej korespondencji, tła społeczno-gospodarcze i listy wyrażają nadawcy telegramów i depesz — powiązać, tak jak

zenia solidnej i sumiennej pracy, o konieczności poprawy jakości i wzrostu wydajności produkcji, o konieczności poprawy jakości i wzrostu wydajności produkcji, o przestrzeganie dyscypliny i utrzymywania. Mają swoją głęboką wymowę wielokrotnie wyrażane w depeszach zapewnienia załóg i indywidualnie — robotników, że nie będą oni szczędzić sił i starań w czynieniu patriotycznym trudzie dla kraju. Wskazuje się przy tym, że dyscyplina



Konferencja Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy zakończyła obrady

Delegacja PZPR z Edwardem Gierkiem powróciła do Warszawy

Tylko rzetelna praca zapewnimy lepsze życie naszym rodzinom i silna pozycję Polski w świecie

Masówki, wiece i zebrania w całym kraju

Radom musi odzyskać dobre imię

Przemówienie prezydenta miasta Tadeusza Karwickiego

40-tysięczna manifestacja ludzi pracy

Demokracja – to ład, rozum i porządek

W poczuciu obywatelskiej odpowie

yciągamy wnioski z wydarzeń w naszym

LIEMY PRACOWAĆ TAK, ABY

Pracą odbudujemy zaufanie

Kartka dnia

PONIEDZIAŁEK, 26 CZERWCA 1976 R.

ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

do podziału

jutro

ach